

Mont Blanc 2011 relacja

- Jaki jest według ciebie najwyższy szczyt Europy? Mont Blanc czy Elbrus?

- Mam to w dupie. Byłem na obu. - Odpowiedział zapytany przeze mnie w drodze powrotnej lider wyprawy Maciek.

Tym sposobem zniweczył mój zamiar wygłoszenia szalenie mądrego wywodu na temat umowności uznawania Europy za kontynent, a co za tym idzie konieczności wyznaczenia umownego najwyższego szczytu - którym rzecz jasna musi być Mont Blanc. Nie bez kozery jak by to Smoleń powiedział mówimy w języku polskim i nie tylko, o alpinizmie a nie kaukazizmie. Więc najwyższym szczytem Europy musi być najwyższy szczyt Alp.

Tej właśnie subiektywnej opinii nie udało mi się wygłosić w pędzącym z Chamonix do Katowic Renaultzie Traffic'u, wiozącego w większości już śpiących członków wyprawy na Mont Blanc organizowanej przez Polski Klub Alpejski.

Dzień 1

Obudził mnie upał. Fala gorąca zalewająca rozkładający się w dwie sekundy decathlonowski namiot.

Byłem zły.

Nie zdążyłem się wyspać, a trzeba z tego namiotu szybko spieprzać bo się ugotuję żywcem. Podnoszę się i ubieram. Która godzina? Dziewiąta.

Przyjechaliśmy chyba o czwartej. Godzinę zajęło rozpakowywanie namiotów i rozbijanie się na campingu. Potem jeszcze trzydzieści minut czytałem Sapkowskiego. Trzeci raz. Dawało mi to trzy i pół godziny snu. Będzie musiało wystarczyć. Wystawiam głowę z namiotu, witają mnie twarze kolegów. Nasza dzielna ekipa rozpoczęła już proceder tworzenia jakiegoś śniadania. Rozmowy trwają, inni też wyłaniają się z namiotów. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę że po raz pierwszy widzę swoje otoczenie w świetle dnia.

To spowodowało baczna jego obserwację i w efekcie zmiażdżenie widokiem który wznosił się nad nami.

Góry.

Góry jakich wcześniej nie widziałem. Ponad dwa pionowe kilometry ponad Campingiem białaty połacie masywu naszego celu - dachu Europy Mont Blanc.

Z wcięć między wierzchołkami spływały w kierunku dolin wciąż jeszcze ogromne jezory lodowców. Nieco dalej swoją iglicą w porannym słońcu mienił się Aguille du Midi. Aż trudno było uwierzyć że najprostszym sposobem na dostanie się na ten niemal czterotysięczny szczyt jest wyjazd kolejką linową.

Czas jednak było wracać do rzeczy nieco bardziej przyziemnych. Zjeść kilka jajek na śniadanie i dostosować się do przekazanego nam przez Lidera planu na dziś.

Jedziemy do Chamonix i robimy sobie luźny dzień. Kto chce jedzie kolejką na Aguille du Midi żeby złapać chociaż trochę aklimatyzacji przed kolejnymi dniami. Kto nie chce, lub w niektórych przypadkach nie ma na to kasy (np. autor rzeczonyj relacji) zostaje na dole i zwiedza.

I tym prostym sposobem podpiąłem się pod Marcina i Sylwię, i wraz z nimi zwiedziłem takie atrakcyjne miejsca jak trzy sklepy górskie, jeden sklep spożywczy, informację turystyczną, kawiarnię oraz ławkę w cieniu.

Po południu dołączyliśmy do reszty ekipy która zjechała z Aquille du Midi, stanowczo zbyt często używając słów "fajnie", w odpowiedzi na pytanie jak było. Po tym jak rzeczono "nie no, fajnie było" usłyszałem po raz trzydziesty utwierdziłem się w przekonaniu że nie wydawanie czterdziestu euro na wyjazd na górę było rozsądnym posunięciem.

Powrót. Camping. I pouczająca odprawa w wykonaniu Lidera. Kiedy dobiegła końca (przedłużona nieco przez czynniki o których tu pisać nie będę) zapadał już wieczór, co nie przeszkodziło mnie, Sylwii i Marcinowi na rozgrzewkowy szybki marsz nad czoło lodowca Les Bossues i zgubienie się w dziczy w drodze powrotnej.

Spać kładłem się myśląc o jutrzejszym dniu.

O 14:30 miała rozpocząć się właściwa część wyprawy. To była godzina w której mieliśmy wsiąść do tramwaju, wiozącego nas na 1800 m i rozpocząć marsz po Górę.

Dzień 2

Tramwaj był fajny. Tłukąca się, trzeszcząca i trzęsąca zębata kolejka z drewnianymi ławkami w środku miała swój niewątpliwy urok.

Czas w nim spędzony miło minął na oglądaniu coraz szerzej rozpościerających się widoków i robieniu sobie mało górnołotnych zdjęć z głowami wystawionymi przez okna wlokącej się ciuchci.

W końcu wysiadka. Zebranie się do kupy. Tysiące myśli. I marsz. Po torach.

Górna część żelaznego traktu była w remoncie, więc do ostaniej stacji Montblancowego tramwaju musieliśmy dostać się pieszo.

600 m przewyższenia przedtreptane po torach zapamiętam jako upierdliwe.

Plecaki wypełnione zabawkami i prowiantem na 3 dni ciążyły niemiłosiernie, a odkryta w trakcie marszu dziura w lewej skarpetce, w połączeniu z trącym o skórę na pięcie butem, skatowały mi ten kluczowy dla dalszego marszu element stopy na resztę wyprawy.

Góra stacja tramwaju.

Odstłoniły się widoki. Kozice (a może to były koziorożce? nie wiem.) pały się koło nas. Dziurę w skórze na pięcie zakleiliśmy kupioną w Chamonix sztuczną skórą. Pierwsze panoramki. Pierwszy kubek herbaty z termosu. I idziemy dalej.

Już nie po torach. Już po gruzie i żwirze, który do złudzenia przypominał mi szlaki w Tatrach słowackich.

Dzisiejszy nocleg będzie miał miejsce w położonym na ok. 2800 m n.p.m. schronie Foresterów, do którego docieram po mniej więcej godzinie od opuszczenia górnej stacji tramwaju. Schron Foresterów okazuje się być betonowym barakiem, z dwoma kondygnacjami. Umożliwia on w miarę komfortowy sen. Przez komfortowy rozumiem suchy i... no chyba tylko suchy.

Pichcimy, rozmawiamy.

W końcu po napełnieniu żołądka ogórkową z paczki i paroma innymi górkimi specjałami zakopuję się w śpiworze. Zасыpanie umiła mi słuchane kątem ucha Dire Straits, które brzęczy w słuchawkach śpiącego obok Lidera.

Jutro cały dzień podchodzenia. I jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem powinienem przekroczyć swój rekord wysokości. Grossglockner - moja najwyższa do tamtego dnia góra ma 3798 m n.p.m. Nasz jutrzejszy cel - schronisko Gouter ma ich o 15 więcej.

Dzień 3

Wcale nie dzień. Noc.

Obudził mnie łomot. Łomot hektolitrowej wody spadającej z nieba na dach schronu. Niepokój. Przejdzie to cholerstwo czy nie?

Meteo zapowiadało ładną pogodę od następnego dnia. Aż tak się pomylili?

Bijąc się z natłokiem myśli, co najmniej jakby ode mnie wszystko zależało zasnęłam by obudzić się rano.

Teraz już na prawdę Dzień 3

- Franek sprawdź czy dalej dupowa, jak będziesz schodził. - Wymamrotał Lider ze śpiwora. Głęboko liczyłam na to że przyniesę mu dobre informacje. Wyszło jak zwykle. Leje, wieje, mgła, syf.

Czekamy.

Trochę gotowania, trochę rozmów. W sumie poranek niewiele różnił się od poprzedniego wieczoru. W końcu deszcz uspokaja się nieco, a Lider daje zielone światło na wyjście w góry.

Dziś mamy do pokonania 1000 m przewyższenia do schroniska Gouter. Na 3100 zaczyna się lodowiec gdzie będziemy się wiązać. Potem punkt kluczowy - Wielki Kular bardziej znany jako Żleb Rolling Stones, a na końcu mixtowe mulenie pod górę do schroniska.

Czas działać. Deszcz przestał padać, ale dalej było wilgotno i nieprzyjemnie, przez białą kurtynę zalegających chmur widać było niewiele. A mi się szło doskonale. Zwłaszcza kiedy nagle, na ok. 3000 m okazało się że chmury się kończą. Zostają pod nami., Morze chmur, po horyzont. Na dole syf zawieja, a nad nami błękitne niebo i słońeczko. Dochodzimy na skraj lodowca. Niedaleko nas wznosi się budynek schroniska Tete Rouse.

Odciążenie plecaka z uprząży, raków, liny, śniegowców i kasku było rozkoszne.

Niby i tak musiałem to nieść, ale ubranie wymienionych akcesoriów na odpowiednie części ciała jakoś tak fajniej rozkładało ich ciężar.

Lider rozkłada zespoły. Prowadzi je on, Marcin, Jadzia i Sylwia, której to linę zamykać mam ja. Oprócz mnie na Sylwiowej linie znalazł się jeszcze Michał.

Marsz przez lodowiec minął szybko i upalnie.

W końcu teren zaczął się bezlitośnie wznosić, by ostatecznie wyprowadzić nas na punkt którego prawdę powiedziawszy obawiałem się najbardziej.

Wielki Kular. Pięćdziesięcio metrowy trawers w poprzek żlebu, z którego górnych partii bezustannie uwalniane są z topniejącego lodu i śniegu kamienie. Owe kamienie, zgodnie z obowiązującymi prawami fizyki z dużą prędkością staczają się następnie w dół, bombardując ścieżkę przecinającą żleb. Ich wielkość wacha się od paczek fajek do telewizorów. Koncentracja, uspokojenie oddechu i rura.

Przeszliśmy. Nic nie poleciało. Teraz zaczyna się ta przyjemna część. Mulenie po skale do schroniska Gouter. Na temat odcinka drogi zdania na naszej linie były podzielone.

Dla mnie był to najprzyjemniejsza część całej drogi na Mont Blanc, szło mi płynnie i sprawnie. Sylwia mówiła niewiele, wczuwając się w swoją przywódczą rolę. Natomiast Michał się z tym odcinkiem szarpał, narzekając że taki teren mu się absolutnie nie podoba. Cóż, gusta i guściki, nie wiedziałem wtedy że jutro nasze role tak diametralnie się odwrócą.

Doszło też kilka innych spostrzeżeń, tym razem zewnętrznych.

Mam tutaj na myśli francuską specyfikę zdobywania Dachy Europy w układzie przewodnik-klient, w którym to złany potem, zadyszany i ledwo żywy klient jest wleczony w niesamowitym tempie jak pies na smyczy przez cyborgowatego przewodnika, który toruje sobie drogę pośród innych ekip, opieprzając wszystkich wokół na temat zawadzania na drodze.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale z tych obrazków zapamiętałem głównie stalowe i użyłone ręce przewodników, zaciśnięte w bezlitosnym uścisku na linie na której ciągneli swoich klientów, którzy notabene zapłacili im za tą przyjemność 2000 euro. Co kraj to obyczaj...

W końcu jednak i ci mniej użyłeni dociągają się do schroniska Gouter.

3813 m n.p.m. , drewniano-blaszany barak schroniska Gouter wieńczy gigantyczną lodowo-śnieżną pokrywę która od tego miejsca ciągnie się aż po wierzchołek najwyższej góry Europy. Schronisko jest mało przyjazne. Ale cholera jasna - jest.

Z wyraźną ulgą rozbieram się ze sprzętu, i rzucam ciężący już niemiłosiernie plecak o podłogę.

Siedzimy... gadamy... by o godzinie 18:00 zostać wypieprzonymi z jadalni w której mamy dziś spać. Wszak goście schroniska zaczynają od teraz do 20:00 jeść kolację, więc hołota musi poczekać.

W końcu po maratonie absurdów, z zaklepywaniem między nami a innymi ekipami miejsc do spania na stołach i pod nimi w ciasnym i dusznym pomieszczeniu jadalnym rozkładam sobie coś na kształt spania w przysługujących mi dwóch metrach kwadratowych.

I oczywiście spać nie mogę. Wszak to jutro. Jest 21:00. Za 4 godziny wszystkich nas poderwie na nogi przedszczytowa krzątanina.

O 2 w nocy zacznie się ostatni, najważniejszy i najtrudniejszy etap wyprawy. Atak szczytowy i bezpieczny powrót.

Co gorsza dalej naiwnie myślałem wtedy że dalej będzie mi szło tak płynnie i sprawnie jak dotychczas.

Dzień 4

- Pierdołę! Nie mam siły! Kurwa! Sylwia nie dam kurwa rady! Jest źle, tu kurwa nie ma czym oddychać! - Chciałbym móc teraz przypisać ten wulgarny bełkot komuś innemu. Ale to ponad wszelką wątpliwość byłem ja.

Niby minęliśmy już schron Vallot na 4369 m, więc nie mam już gdzie zostać i poczekać na resztę ekipy, mogę już tylko wyleźć ze wszystkimi i zejść ze wszystkimi, ale dalej każda część mojego ciała mówi mi że na Mont Blanc wejść się nie da.

A ja wiem doskonale że jedyną odpowiedzią na to jest kolejny raz postawić jedną nogę przed drugą.

Kiedy o 1:30 kulbaczyliśmy się do ataku szczytowego na tarasie schroniska Gouter, byłem przekonany że złapałem aklimatyzację. Że ból głowy przypominający nieco kaca to najgorsze co mnie czeka.

Teraz, o 5:30 na 4500 m. wiem że moje zmęczone trwającą od trzech dni akcją ciało, ma dla mnie cały repertuar okazywania swojego niezadowolenia z tego do czego go używam, i w jakich warunkach.

Oddech jest za szybki, wzrok błędny, żołądek robi wszystko żeby wyrzucić dzisiejsze szybkie śniadanie tą samą drogą którą je spożyłem. Co ja na to biedny mogę zrobić? Odpowiedź za każdym razem pada ta sama. Kolejny krok.

Przecież dopiero co minęło apogeum, kiedy wypieprzyłem się na śnieg i nie kontaktowałem, i dopiero Michałowe szarpanie za line i Sylwiowa awantura postawiła mnie z powrotem do pionu.

Za swój spory sukces uważam że się wtedy nie zerzygałem. Dość ożywczy okazał się też chłód.

Od Vallota wiało już praktycznie non stop, a wiało solidnie. Nawet słońce, które kilka chwil wcześniej pokazało się na horyzoncie nie powstrzymało wkradającego się pod źle dobrane ubranie zimna.

Marsz ogrzewał. Więc trzeba było iść. By chwilę po 6 rano doczłapać się wreszcie do miejsca gdzie kryzys ostatecznie mnie opuścił.

Ciągnąca się przede mną charakterystyczna i znana mi ze zdjęć i opisów śnieżna grań, o której wiedziałem że wyprowadza na wierzchołek utwierdziła mnie w budującym przekonaniu - Chyba faktycznie wylezłem. Więc wyłazimy dalej.

Ostrze grani, miejscami lufiasto. Widoki zaczynają obezwładniać swoim pięknem. Liczenie kroków. 1...2...3...24...25...50.

Oddechy.

I od nowa. Podczas jednej z przerw na oddech jakiś idący za mną francuski przewodnik zaczyna się wydziierać swoim "ALEJ!!! ALEJ!! ALEJ!!". Ale nawet on nie jest w stanie zepsuć mi tej chwili.

Bo widzę przed sobą kulminację co do której nie mam wątpliwości że jest najwyższym spiętrzeniem masywu.

Nie była.

Jeszcze kawałek, jeszcze trochę. Boże ten matoł za mną znowu się wydziiera.

Może by tak zeskoczyć z tej grani, zaklinować się czekaniem i puścić go przed siebie żeby przestał jęczeć?. Co? Co ja pierdołę, jakie zeskakiwanie z grani...?

Chyba zaczyna mi odbijać, poza tym tu już jest szeroko... jest szeroko... więc nie jesteśmy już na grani... jesteśmy na....

O 6:40 Stałem na Dachy Europy.

Patrzmy po sobie. Ja, Sylwia i Michał. Oddychamy ciężko, ale w oczach kolegów z liny widzę błysk. Tak, to zdecydowanie jest radocha. W ruch idą aparaty, Sylwia kręci film. Obowiązkowe fotki szczytowe, kilka panoram. I komenda.

To tylko 30% sukcesu, schodzimy bo nas tu zawieje. Faktycznie wieje jak cholera, zmieniamy się.

Teraz ja idę pierwszy, Michał dalej tworzy środek, Sylwia zamyka linę.

Rura. Szybko. Do tlenu. Do ciepła., Byle dalej od tego cholernego wiatru. Nie stracić koncentracji, teraz dopiero zaczyna się jazda.

Przy Vallocie jesteśmy 45 minut później. Dobry czas. Teraz jeszcze mulenie do Goutera, połączone z makabrycznie męczącym podejściem na kulminację Dome Du Gouter. Znowu liczenie 50ciu kroków.

Wreszcie między nami a schroniskiem nie ma już żadnych wzniesień, tylko połać coraz miększego śniegu pod grzejącym coraz przyjemniej słońcem.

Dalsza część schodzenia upływa pod znakiem postępującego zmęczenia, stopniowego rozbierania się i bezustannego poprawiania spadających raków.

Żle dopasowane, może dlatego że wzięte przeze mnie w nocy z Goutera raki okazały się nie być moje. Model ten sam, ale ewidentnie nie moje. Do dziś jestem ciekaw kto wziął moje.

O 8:30 jesteśmy w schronisku Gouter. Tankujemy. Herbatę. Jemy. Pierwsze rozmowy o szczycie. Ale jeszcze za wcześnie. Przed nami jeszcze kawał drogi. Plan zakłada spokojne dojście do schronu Foresterów na 2800, a jak się uda to na ostatni tramwaj. W Gouterze marudzimy godzinę.

Wreszcie zbieramy się całkiem do kupy i zaczynamy nieco pokraczne i rozpaczliwie ciągnące się zejście po skalno-śniežno-błotnym terenie który opada ze schroniska w dół.

Po trwającym całą wieczność zejściu stajemy przed ostatnią przeszkodą.

Znowu Wielki Kuluar. Teraz jest popołudnie. Kamienie spadają co kilka minut. Trzeba się skoncentrować ostatni raz. I tak mocno jak ani razu dotychczas. Jesteśmy zmęczeni a te 50 m trzeba zrobić szybko i sprawnie.

Rura.

- "...Zdrowaś Mario, Łaskiś Pełna..." - mówi ktoś moim głosem. Ja tylko patrzę pod nogi. Tomek idący przede mną podknął się.

Wstrzymuje pochód, idź chłopie idź.

Jeszcze 10 kroków. Jeszcze pięć.

W końcu pierwszy rak opiera się o twardą skałę która leży już poza żlebem, po chwili robi to następny. Co za ulg.... KURWA! Kamień wielkości żelazka uderza w oszalałym pędzie ku dołowi o miejsce w którym stałem 10 sekund temu.

- Sylwia spieprzamy, byle dalej od tego żlebu! - Odpowiadam na propozycję złapania oddechu.

Teraz już schodzimy po błocie. I znowu śnieg. Lodowiec Tete Rouse. Koniec lodowca. Można się rozkulbaczać.

W życiu nie czułem takiej ulgi ściągając raki, pięta którą obtarłem w 1szy dzień jest już zdarta do gołego mięcha. Teraz do schronu Foresterów, nikt już nie myśli o schodzeniu na tramwaj. Po prostu nie mamy siły.

Trzeba się teraz tylko podnieść z płaskiego kamienia który sobie z takim trudem upatrzyłem. I zebrać się w drogę. W dół. Ten ostatni raz.

Dzień 5/Epilog

Kiedy siedząc w 1szym tego dnia tramwaju z górnej stacji na sam dół gdzie stał nasz Renault rozmyślałem o ostatnich trzech dniach wciąż do mnie nie docierało co tak na prawdę w ciągu tych trzech dni się stało. Ile się stało.

Moją głowę zaprzętała inna myśl. Ciekawe czy Maciek, lider wyprawy uznaje Mont Blanc za najwyższą górę Europy. Będę musiał koniecznie zapytać go o to na spokojnie. Najlepiej jak będziemy wracać.

Franek Bukowski